

30 lat po wydaniu „Szatańskich wersetów” niewiele się zmieniło

Jan Wójcik

Karykatury Mahometa, Charlie Hebdo, rysunki Larsa Vilksa, festiwal Passion for Freedom, to tak naprawdę kolejne odsłony walki o wolność słowa ze światem muzułmańskim, rozpoczętej przez Salmana Rushdiego 26 września 1988 roku.

30 lat temu ukazało się pierwsze wydanie „Szatańskich wersetów” i do dzisiaj odczuwamy skutki tego wydarzenia, a dyskusja o wolności słowa, w konflikcie z oskarżeniami o bluźnierstwo ze strony islamu, raczej się nie kończy. Powieść została uznana za bluźnierczą, ponieważ „szatańskie wersety” odnoszą się do tych wersetów Koranu, które były wypowiedziane przez Mahometa, ale później usunięte jako „podszeptane przez szatana”. Co miałyby podważać wiarygodność samej książki.

W reakcji na publikację pojawiły się groźby śmierci wobec autora, masowe demonstracje, zakazy i publiczne palenie książek, także przez muzułmanów w Wielkiej Brytanii. Wreszcie wyrok śmierci na Rushdiego ogłosił ajatollah Chomeini, a brytyjski muzyk Cat Stevens aka Yusuf Islam poparł ten wyrok, czego potem się wypierał.

Wydarzyło się też najgorsze, zginął japoński tłumacz książki, zadźgany przez bangladeskiego studenta. Sześć osób zginęło w trakcie protestów pod amerykańską ambasadą w Islamabadzie. Fatwa na Rushdiego obowiązuje do dzisiaj.

Sytuacja po trzech dekadach nie uległa zasadniczo zmianie. Jak pokazują przywołane przeze mnie powyżej przypadki, ceną za wolność słowa może być śmierć, groźby, próby blokowania wydarzeń, ale nie tylko. Próbuje się doprowadzić do „śmierci

cywilnej” ludzi krytykujących islam, przez określanie ich mianem „islamofobów” – ludzi powodowanych irracjonalnym, panicznym strachem. Te zabiegi mają charakter nie tylko jednostkowy, ale i globalny, poprzez działania organizacji międzynarodowych, między innymi ONZ czy OBWE.

Po stronie Zachodu jest z kolei coraz większe wycofanie się ze wsparcia dla wolności słowa. Z wydarzenia na wydarzenie coraz mniej zachodnich mediów solidaryzuje się z prześladowanymi twórcami; dominuje podejście „tak, ale...”. To zjawisko analizowałem w pracy o islamistycznej przemocy jako narzędziu narzucania autocenzury i widać wyraźny spadek solidarności dziennikarskiej od czasu karykatur Mahometa w duńskiej gazecie do czasu karykatur w „Charlie Hebdo”.

Różnice w postrzeganiu wolności między islamem a cywilizacją zachodnią próbował tłumaczyć wielki mufti uniwersytetu Al Azhar, Ajman Al-Tajeb. Twierdzi, że my jesteśmy cywilizacją wolności, a islam jest cywilizacją moralności. Stąd miało płynąć wytłumaczenie dla kary śmierci dla apostatów, którzy odchodząc od religii „wprowadzają niepokój społeczny”. Może i to samo można odnieść do bluźnierstwa. Może?

A może społeczność muzułmańska powinna zadać sobie inne pytanie. Czy jej wiara jest tak słaba, a światopogląd tak nieuargumentowany, że trzeba wszelkimi sposobami uciszać jego krytyków? Czy jestem tak niepewny swojej wiary, że nie zniosę prześmiewcy? Czy czasami nie traktuję Boga jak niezbyt społecznie rozwinięte dziecko, które trzeba chronić przed innymi?

To pytania do ludzi, bo co do organizacji muzułmańskich i przywódców, którzy na różne sposoby próbują wprowadzić cenzurę, to nie mam złudzeń. Chodzi im kontrolę nad społecznością. O to, żeby tanim kosztem przedstawić się jako reprezentant tej społeczności i narzucić jej swoją narrację, a to da władzę i wymierne korzyści.

Nie wierzę, że wszyscy muzułmanie boją się wolności słowa, tak bardzo, jak chciałyby te organizacje.